

Najbogatsza dziedziczka niemiecka i jej dziedzictwo.

Najbogatszą dziedziczką w Niemczech jest panna Berta Krupp, najstarsza córka wielkiego Kruppa z Essen a wnuczka założyciela olbrzymich zakładów, wyrabiających śmiernie niszczącą „króla armat“.

Ciekawicie jak ma posag?
Dwieście milionów marek.

Za tę cenę ma się w Ameryce autentycznego hrabiego lub księcia z wielkiej, historycznej rodziny francuskiej, lub angielskiej. A nawet za mniejszą cenę.

Panna Berta Kruppówna nie ma szerokich ambicji. O tytule się jej nie marzyło. Gdyby przyszedł na skrzydłach miłości, powiedziała by pewno: „Tem lepiej“. Ale że miłość przybyła bez tytułu, więc rzekła sobie: „Wszystko mi jedno“. Jest w tem sporo rozsądku. Ale być może i odrobina dumy. „Rohan je suis“ — „Kruppówna jestem“ — niby...

Bądź co bądź piękna panna — piękna, możecie to sprawdzić. — miliony nie nie przeszkadzają urodzić — wybrała sobie na męża skromnego dyplomata niemieckiego, nazwiskiem von Bohlen.

O interesującej tej pannie pisma niemieckie przynoszą trochę szczegółów. Sympatyczne są te szczegóły. Panna Kruppówna, pomimo swojej pełnoletności, interesami nie zajmuje się wcale. Czynniki to komitet, złożony z jedenastu członków zwany *Directorium*. Jednak dziedziczka zakładów, około których się skupia kolosalna liczba 56 tysięcy pracowników, nie pozostaje obojętną na ich dolę i niedolę. Z zamku swego Hugel, nad Ruhr'em śledzi rozwój różnych społecznych urzędzeń, które jak dotychczas w dość zwycięski sposób stanowią wal, odparający natarczywe balwany socjalistycznej propagandy.

Zakłady Kruppa istotnie są interesujące ze względu na kolosalność swoją i na organizację masy swojej.

Zanim kilka słów informacyi tu o nich podamy, zwróć uwagę czytelników, iż grają one pewną rolę w walce, jaką rząd pruski toczy z polakami.

To jest ciekawe, posłuchajcie.

Jak wiadomo, żadne nakazy i komisje kolonizacyjne nie mogą dać rady polakom. Ba! na podobieństwo pewnych

żywnotnych roślin, które tem silniej się rozwijają i owocują, jeżeli są przyciszane, polacy pod pruskim uciskiem niezmiernie się wzmagają i niepodoba im się, że ich z Wielkopolski wycisnąć nie sposób, ale Śląsk zdobywają sobie politycznie.

W zacieklej i nieważkiej przesyconych mózgach hakatystów powstał niedawno, pod wpływem agrarnych rosyjskich teorii, projekt:

— Wywłaszczyć polaków z ziemi!

Radość w hakatystycznym obozie zapanowała duża.

Bo może to i jest panaceum na chorobę polską, trawiącą organizm pruski!!
Ale radość trwała krótko.

— Wywłaszczyć!!

Na to hasło zatarł sobie ręce i Bebel.

— To! to! — rozległo się przytakiwanie z obozu socjalistów.

Bo jak raz wprowadzi się zasadę wywłaszczenia do niemieckiego życia publicznego, no, to się to nie zatrzyma na polakach. Będzie się zaraz wywłaszczać dalej... I może — aż do końca...

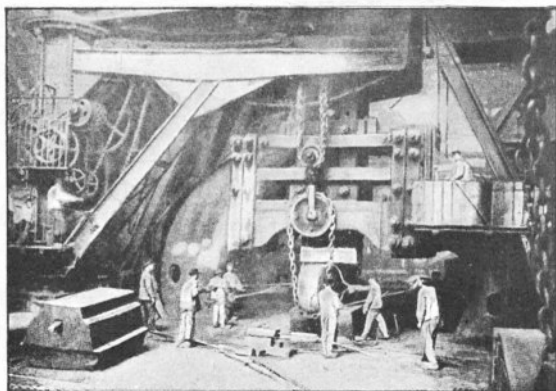
A na pierwszy ogień wiecie, co idzie? Zakłady Kruppa!

Najbardziej, bo to dojrzały owoc do zerwania.

A to właśnie zastanowiło tych Niemców, co w kwestyi polskiej do zastanowienia jeszcze są zdolni. Zakłady Kruppa zbyt są zasłużone, — i zbyt pożyteczne — i zbyt świetnie zorganizowane — no, i rozporządzają zbyt potężnymi wpływami, aby to nie skłoniło ministrów do namysłu.

Zakłady Kruppa założono w 1810 roku, a więc wkrótce obchodzić będą stulecie. Pierwszy Krupp, założyciel, incyator, wynalazca — zrujnował się. Posiadał więc był pewną fortunę. Poszukiwał najlepszych metod odlewania stali, i to go kosztowało — wszystko, co miał.

Syn jego, Alfred, wielki Krupp, założyciel firmy, miał lat czternaście gdy został sierotą. Dotychczas pobożnie za-



Stynny młot „Fritz“.

chowuje się niezmienny domek z meblami z drzewa niemalowanego, gdzie mieszkał. Chałupka ta, wybudowana przez majstra odlewnika, długi czas była jednak biurem zakładów esseńskich. Obecnie służy ona rodzinie Kruppa za pogrzebową kaplicę: stąd wynoszą zwłoki tych potentatów przemysłowych na wieczne odpocznienie.

Powodzenie Kruppa trwa zresztą ledwie pół wieku. Wystawił on na londyńskiej wystawie wszechświatowej blok stalowy, odlany w swych zakładach, wagi 2 tysiące kilogramów. Świat przemysłowy wprawiło to w zdumienie. Fabryka jego liczyła wtedy ledwie 350 robotników.

W dziesięć lat potem w krupowskich zakładach uczyniono ważny wynalazek: obręcze stalowe niespajane, z jednej sztuki. Od tego czasu zakłady zaczęły się rozwijać wspaniale, potem kolosalnie.

Obecnie liczą one sześćdziesiąt warsztatów. A w nich huzy 513 parowych maszyn, syczy 365 motorów elektrycznych, obraca się 5300 tokarń i warczy 141 młotów. Młot kolosalny zwany *Fritz* spada ciężarem 50 tysięcy kilogramów na poddawany mu przedmiot. A oprócz siły pełen on jest, gdy chce, delikatności: pewnego razu cesarz Wilhelm położył na kowadło swój złoty zegarek; Fritz spuścił się nań tak ostrożnie, że dotknął zegarka i nie zbił nawet szkiełka.

Same odlewnie są urządzone w sposób budzący podziw techników. Posiadają one 18 pieców ogrzewalnych, 18 pieców do topienia metalu i 68 mniejszych piecyków — a w razie potrzeby mogą podobno odlać przedmiot wagi 85 tysięcy kilogramów.

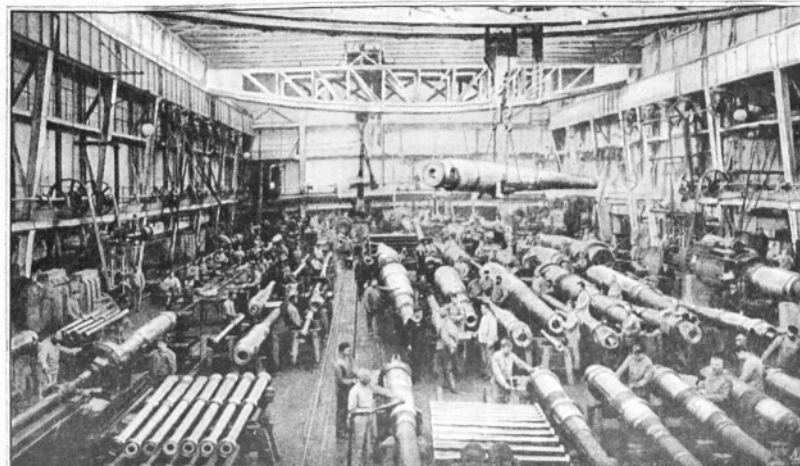
Głównym produktem zakładów są armaty. Ale zakłady wyrabiają i wszystko, co się da: szyny, statki. Trzeba zatrudnić tę kolosalną armię robotniczą.

Inżynierowie całego świata chętnie są tu do wnętrza puszczeni. Zwykły podróżnik znajduje zamknięte drzwi przed nosem. I może słuszenie. Drafan zwykły w tem piekle pracy — cóżby zrozmiał!..

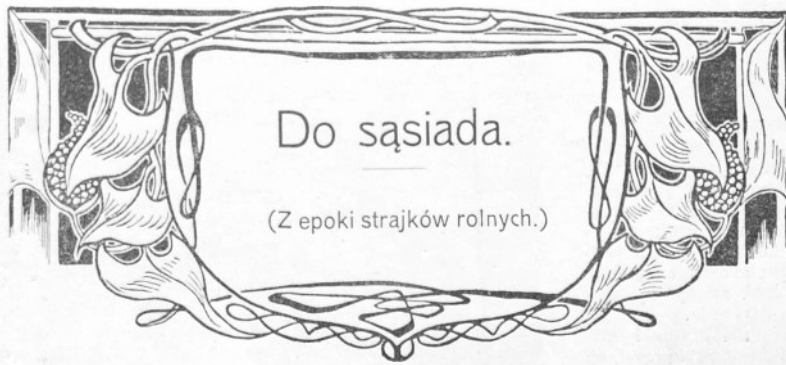
Za tę pracę robotnicy esseńscy są jednak o tyle dobrze wynagradzani, że nie wyczekują złotych gruszek na socjalistycznej wierzbie; są oni zwolennikami związków zawodowych, są popieraczami i członkami kooperatywnych stowarzyszeń, są członkami ligi chrześcijańskiej, organizowanej przez centrowców niemieckich. I wśród robotników niemieckich uchodzi za niemata szansę dostać się do zakładów Kruppa, bo z nich się już nie wychodzi nigdy, nawet przez ciąg pokoleń.



200 milionów posagu.



Wykończanie armat.



Do sąsiada.

(Z epoki strajków rolnych.)

Za górami, za lasami, gdzie wysoki w płocie kolek, płynie rzeka, a nad rzeką leży wioska Kurzy-Dolek. Są tam niwy, są tam łąki, zdobne barwną z kwiatów szatą, żyją ludzie w niej poczciwie: chata z dworem i dwór z chatą. Dusz nie trawi im pesymizm i zwątpienia czoł nie kryją, sześć dni orzą w pocie czoła, a siódmego i siódmego upiją. Obecnie im są rewolucyjny i społecznych walk zamęty, ma poważny dochód z ziemi stary dziedzic pan Jacenty.

Takby żyli i do dzisiaj, nie znając, co frasunki, gdyby nie był jechał stangret raz do miasta po sprawunki. Miasto źródłem jest zepsucia, w niem zgorzenia z każdej strony, to też wrócił stangret Maciej, jak przez czary odmieniony. Dawniej cichy, małowówny, teraz gadał jak najęty; dziwił temu się ekonom, dziwił dziedzic, pan Jacenty. Musiał stangret opowiadać niestworzone ludziom bajki, bo niebawem wieść gruchnęła: w Kurzym Dołku będą strajki! Zeichły śmiechy przy robocie i żniwarskie zmiłki śpiewki, każdy gadał wciąż o strajkach, nawet baby, nawet dziewczki. Zda się, woły to ryczały i śpiewały ptaki polne, zda się kogut piał na płocie: „będą strajki!.. strajki rolne!..“ Pan Jacenty chodził struty, wciąż go gniołta smutku zmora i, by ulżyć ciężkiej trosce, kłął od rana do wieczora. Dopomagał mu ekonom w dzień powszedni, przy niedzieli, i nie mogąc znaleźć środka, tymczasowo obaj klęli, a zaś służba, co—jak wiemy—zawsze z pańskich trosk korzysta, powtarzała: „zasztrajkujem!.. ino przyjdzie specjalista“.

Nie był jednak pan Jacenty człkiem, co wśród troski drzemie, a w dodatku go w dzieciństwie nie bił nigdy rodzic w ciemie; dając oko więc na służbę i bacznie nieustannie, postanowił zaprowadzić od zarazy kwarrantanę. Na wschód, zachód i południe porozysyłał czujne straże, by doniosły, gdy się jaki agitator gdzie pokaże, sam zaś w bryczce jednokonnej okoliczne zwiadał drogi, by strajkową hydrę groźną—jak to mówił—„wziąć za grogi“.

Przeszedł tydzień najspokojniej, praca w polu szła siarczyście i nie słyhać było nigdzie o przyjeździe socjaliście. Zmęczył się już pan Jacenty, codzien mknął przez doły, piachy i powtarzał z ulgą w duszy: „Et! to widać strach na Lachy!..“ Aż w dzień pewien o południu, gdy już myślał zwinąć warty, dwaj przybiegli wartownicy, zadyszani, niby charty. Nie witając się z dziedzicem, nie całując pańskiej dłoni, wykrzyknęli:

„Jaśnie panie!.. w Gęsim Rowku już są oni“. Pan Jacenty chwytając pióro, po papierze niem szeleści i raz, dwa, trzy... wypisuje grzeczny liścik takiej treści:

Proszę panów o przybycie, by parobkom mym poradzić, w jaki sposób w Kurzym Dołku strajk agrarny przeprowadzić. Są to głowy zacofane, jak ojcowie ich i dziady, więc nie mogą działać sami, oczekują światłej rady. Przepraszając, że nie jadę sam, bo jestem zbyt zajęty, czekam panów w Kurzym-Dołku jaknajprędzej.

Wasz

Jacenty.

W półgodziny wraca bryka, zaprzężona w parę siwą, dwóch młodzieńców urodziwych wyskakuje z niej co żywo. Pan Jacenty wbiegł na ganek i uprzejmie gości wita... „A gdzie pański proletarij?..“ — jeden z dwóch młodzieńców pyta. „Zaraz przyjdą, znają bowiem swe społeczne obowiązki, a tymczasem proszę panów na wódeczkę i przekąski.“ „Dobrze — rzecze drugi młodzian—będziem jedli jak najęci... lecz to dziwny burżuj z pana, co na siebie sam bież kręci!“

— Burżuj!! — krzyknął pan Jacenty—mylna waszych sądów skala! Jestem esem prawowiernym, wielbię Marxa i Lassalle'a. Jestem wzorem, panie dzieju, prawdziwego demokraty... z Beblem, panie, piłem piwo, a z Kautsky'm jest na „ty“!

— Tak? — wyrzekli dwaj młodzieńcy—gdy nastąpiła potem cisza— to zupełnie co innego!. przepraszamy „towarzysza“. Widać, żeście wy nie mamut, głowę macie snąć na karku, rozumiemy teraz, czemu chcecie strajk mieć w swym folwarku.

Poczem jęli mu wykladać swe zasady i teorye, świat niebawem przewrócił, i przyrodę i historię. Słuchał długo pan Jacenty, wreszcie wyrzekł: „Towarzysze“... szczerem wdzięczny wam za wszystko, co mądrego od was slysze. Przeczuwałem doskonale, kto mi będzie mógł poradzić i już teraz będę umiał strajk w folwarku przeprowadzić. Czasu wam już nie zabiorę, szkoda każdej waszej chwili... a wy może pojedziecie do sąsiada o pół mili... Niedaleko. W Kaczej Górcie, gdzie łąk barwnych lśni mozaika, mieszka burżuj ten opasły, typ prawdziwy lami-strajka“.

— Takich nam dać! — krzyknął młodzi — dobrze radzisz, setny chłopie!. ukarzymy tego kata, co krew ludu chcewie żłopie! Ty sam urządz strajk u siebie, nam zaś użyż jakiej furki i w tej chwili pojedziemy do burżujskiej Kaczej Gorki.

Wnet od stołu wszyscy wstali i dążyli w ganek stronę—na to czekał pan Jacenty oraz konie zaprzężone. Jeden młody dłoń zacierał i powtarzał: „dobra rada!“ Drugi mówił, kręcąc wąsa: „do sąsiada! do sąsiada!“ Pan Jacenty zaś pochylił się do stangreta mówiąc znowu:

— Maciej!. rubla masz w kieszeni, jeśli... wspaniesz ich do rowu!.

Krogulec.



W walce z mankietnikami.

Ruch mankietnicki, który na wiosnę wydawał się wielkiem, a przynajmniej poważnym niebezpieczeństwem dla jedności Kościoła w kraju naszym, wymiera i wygasa nam w oczach. Wierność ludu polskiego dla historycznych tradycji religijnych trawi go z jednej strony; żywsze zajęcie się religijnymi potrzebami ludu tego przez kapłanów naszych trawi go z drugiej strony.



Brochów.



Przed kościołem w Brochowie.

Doświadczenie pokazało, iż w tem zadaniu umocnienia ludu naszego w wierze ojców, dużą rolę w chwili krytycznej odegrać mogą misjonarze. To podniesienie się ducha, które zapanowało na Powiślu na wiosnę pod wpływem nauk ojców Redemptorystów świadczy o tem wyraźnie. Innego dowodu dostarczyć nam mogą całotygodniowe uroczystości, jakich we wrześniu świadkiem była okolica sochaczewska, a więc kawał kraju wystawiony refleksyjnie na pokusy mankietnickie.

Starożytny kościół w Brochowie, gdzie kazali misjonarze, jest jedną z najszanowniejszych pamiątek. Datuje od roku 1222. Przebudowano go z drewnianego na mурowany już w 1554 roku; zrujnowany w czasie napadu szwedów, odbudowany został w 1667 roku w panującym wówczas stylu romańskim. Julian



Wnętrze kościoła w Brochowie.

Bartoszewicz domyśla się, że obraz, przedstawiający św. Rocha, szkoły bolońskiej, wyszedł z pod pędzla samego Caravaggia. Ale, myślimy, byłoby to—*trop beau*.

Trzech misjonarzy, ojcowie Józef Stach, Kazimierz Majgier i Franciszek Marcinek sprowadzeni zostali staraniem właściciela Brochowa i proboszcza ks. Bielawskiego. Tysiące ludu ścigało na te nabożeństwa z okolicznych wsi, złączonych gorącego słowa bożego do tego stopnia, że przez cały tydzień trzeba było przemawiać po trzy razy z ambony: po prymaryi, w czasie sumy i przed nieszporami.

Na upamiętnienie tych modłów postawiono krzyż w ogrodzeniu kościelnym,

na uroczystości, w której udział brało przyspuszczalnie do dziesięciu tysięcy ludzi.

Notatka na zakończenie uroczystości: założony w r. 1732 przez św. Alfonsa Liguori, w kraju naszym wprowadzony był przez ojca Klemensa Hofbauera; w r. 1808, wypędzeni z naszego kraju, osiedlili się w Wiedniu. Zostawili u nas jak najlepszą pamięć.

I. T.



Grób Sary Bernhardt.



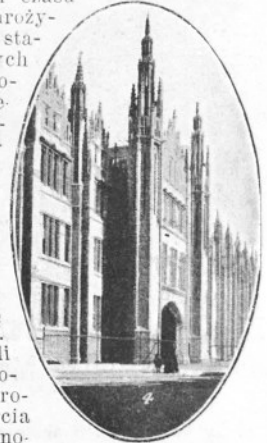
Pomna na śmierć i na koniec próżności ludzkiej, sławna artystka dramatyczna kazała sobie za życia zbudować grobowiec, w którym ma spocząć na wieki.

Czterechsetlecie uniwersytetu w Aberdeen.

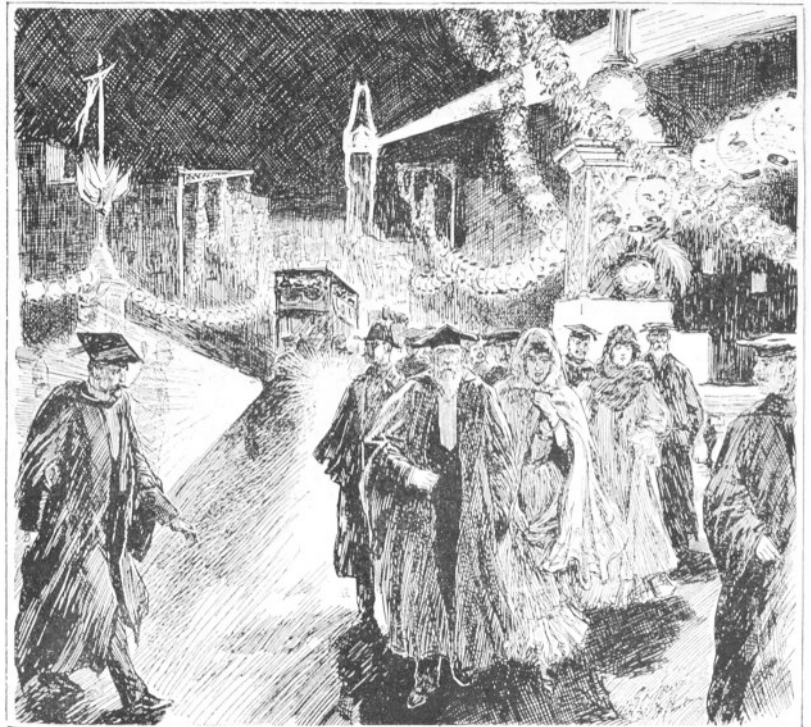
Aberdeen jest miastem portowem, stolicą hrabstwa tejże nazwy. Liczy 150.000 mieszkańców; posiada kilka wielkich fabryk wyrobów lnianych i grzebleni. Pod względem produkcji tego ostatniego artykułu handlu Aberdeen zajmuje pierwsze miejsce w świecie. Jest w tem szkockiem mieście jeden z najstarszych uniwersytetów, który właśnie obchodzi obecnie 400-lecie swego założenia, datującego się od zbudowania w r. 1506 tak zwanego kolegium Królewskiego. Z biegiem czasu

obok owego starożytnego kolegium stanął szereg innych pawilonów, a koroną ich jest niedawno wzniesiony przez magnatów szkockich gmach nazwany „Marschal college.“ Budowla ta kapitalna, cała z granitu, kosztowała ogromną sumę 220.000 f. sterlingów czyli przeszło 4 miliony rubli. Na uroczystość otwarcia i poświęcenia nowego kolegium przybył sam król Edward VII do

Aberdeen i wziął udział w świetnym obchodzie jubileuszowym razem z całym zastępem mężów nauki nie tylko wielobrytańskich, lecz i obcych. Cała pompa ceremoniału średniowiecznego, w której się tak anglicy lubują, rozwinięta została podczas tego uniwersyteckiego święta.



Gmach uniwersytetu w Aberdeen.



Miasto oświetlone uroczystością na cześć przybyłych gości.

Przywódcy socjalizmu niemieckiego.



Bebel.

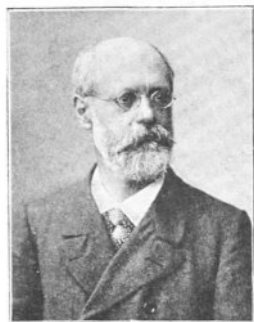


Vollmar z żoną.

Zjazd socjalistów niemieckich w Mannheimie.

W tych dniach skończyły się obrady kongresu socjalistycznego w spokojnym mieście badeniskim Mannheimie. Ciekawo był ten zjazd z wielu względów. Naprzód okazało się, że socjaliści niemieccy już nie tworzą zwartej grupy społecznej, że znaczna ich część zorganizowana w przeróżne związki zawodowe i fabryczne, chce dojść do urzeczywistnienia ideałów swoich drogą pokojowego rozwoju. Stąd przeciwna jest strajkowi jeneralnemu i terrorowi wszelkiemu. To ewolucyoniści. Istnieje

jednakże odłam mniejszy, złożony z żywiołów gorętszych, żądnych czynu. Ci dążą do zmiany ustroju społecznego drogą rewolucyjną — na sztandarze swoim wypisali hasło strejku powszechnego. Starły się z sobą obie te partie i doszły do rozłamu,



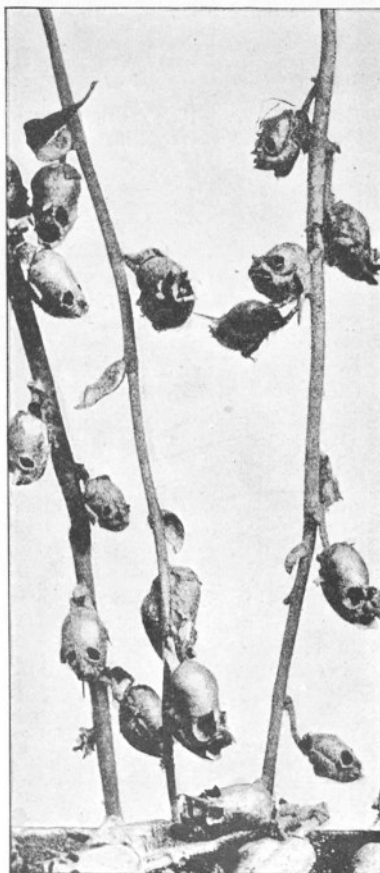
Kautsky.

gdymy patryarcha socjalizmu niemieckiego, Bebel, zatargu zrecznie nie zażegnał. W zasadzie stanął on w obronie idei powszechnego strejku, ale w praktyce go potępił. Tym sposobem zniweczył usiłowanie lewicy, której przewodzą: znana na naszym gruncie agitatorka, Róża Luksemburg i słynny obecnie teoretyk socjalistyczny, autor licznych broszur, Kautsky. Postanowiono także na tym zjeździe usunąć z partii nie tylko czynnych anarchistów, ale i tych, co sympatyzują z nimi. Byli w Mannheimie również delegaci Polskiej partii socjalistycznej i wyraźnie zamianifestowali w osobnej deklaracji swoje stanowisko kosmopolityczne.

Z dziwów przyrody.

Kwiaty, przypominające trupie czaszki.

Komu nie jest znany kwiatek pospolicie „lwią paszczą“ zwany? Na wysokiej, cienkiej łodydze kołyszają się, niby



Kwiaty rośliny antirrhinum.

dzwonki, dziwnego kształtu kwiateczki, przypominające strukturą swoją rozdzieloną paszczą królewskiego zwierza. Botanika zalicza je do rodzaju *antirrhinum*. Na wiosnę i w lecie kwiatki te wdzięczą się piękną barwą. Jest jedna pewna ich odmiana, która wędnąc i usychając czasu jesieni, pozostawia po sobie strączki, przerażająco podobne do trupich czaszek. Wydają się wówczas białe lwich paszczek, niby słupy, na których kołyszają się pozatykane 'obłazki ze skóry głowy jakichś lilipucich skazańców.

Ryby, które toną w wodzie.

Dziwne stworzenia. Natura wyposaża je w pewien rodzaj pęcherzyków, które spełniają funkcję płuc, a dała im także pletwy, przy pomocy których są w stanie nie tylko w pogoni za owadami



Ryby spacerujące.

spacerować po lądzie, lecz nawet wdziierać się na nadbrzeżne skały. Jeżeli taka ryba pogrąży się zanadto w wodzie, jeżeli dostanie się przypadkiem w głąbie, z której nie może odrazu się wydobyć natenczas tonie. Stworzenia te są przedmiotem ciekawych studiów uczonych zoologów.



Ułudy.

Ułudo, pani tego świata,
Roztaczasz hojnie dary swe
I dziwnie urok twój oplata
Mirazem życie, jak we śnie.

Dla słabych tarczą tyś jedyną
I mieczem w marnych walkach ich
I silni blaskiem twoim słyną,
— Poetką jesteś w ręku złych.

Pożądań ziemskich, o mistrzyni,
Nasz cały wiążesz z sobą los
I każdy tyle tylko czyni
Ile zwodniczy szepnie głos.

Podporą jesteś ludzkiej wiary,
Mamidłem jej gorących chęci,
Ty zdobisz hasła i sztandary,
Ty... jakby świata tego cień!

I widmo jeszcze rzucasz — drwiąca —
Wśród czarów życia — śmierci strach.
I cała rzesza ci wierząca
Pławi się wtedy... w jęku, łzach.

Kraków.

Jan Szymański.





Start „weteranów” byłych mistrzów jazdy na rowerach. 1. A. Kondracki, sekretarz komitetu. 2. Ant. Fertner, wiceprezes W.T.C. 3. Wacław Wyczółkowski, (na rowerze) właściciel zakładu mechanicznego. 4. Apolinary Jabłoński, kapitan W.T.C. 5. Mieczysław Horodyński, obywatel i kupiec m. Warszawy (na rowerze). 6. Stanisław Leppert, kapitan I-szy W.T.C. 7. Emil Szyller, właściciel drukarni i redaktor „Dobrej Gospodyni” (na rowerze). 8. Ignacy Wadowski, kapitan II-gi W.T.C. Ex-mistrzów na starcie podtrzymywali kapitanowie, puszczali zaś od startu wiceprezes.

Pierwsi dwaj prezesi W. T. Cyklistów.



Ś. p. Edward Chrapowicki.



Ś. p. August hr. Połocki.

Warszawskie Towarzystwo Cyklistów jedno z najruchliwszych i najsympatyczniejszych naszych instytucji sportowych obchodziło w niedzielę dwudziestoletnią rocznicę swego istnienia. W „jubileuszowych” wyścigach na rowerach wzięli udział nie tylko najmłodszy bohaterowie kołowi, ale i dawniejsi „weterani”, ci, co przed laty wszystkie główne nagrody zdobywali. Po biegach odbyła się uczta dla członków i dla zaproszonych gości.

Dramat w Aleksandrynie.

Znany szantani warszawski przy ul. Mokotowskiej był widowiskiem d. 23 z. m. wstrząsającego dramatu. W goszczącej tam czasowo trupie „Luri” znajdowała się 22 letnia Barbara Szybowska, przed kilku laty szwaczka z Warszawy. Wówczas po-



Barbara Szybowska.

znała robotnika garbarza, Ludwika Dybikowskiego, i zaręczyła się z nim. Ale młoda narzeczona nie dochowała wiary narzeczonemu, ostatecznie zaś porzuciła go i uciekła, wstąpiła do towarzystwa wędrownych tancerek. Obecnie występowała w Aleksandrynie. Dawny narzeczony, dowiedziawszy się o tem, przybył na miejsce, a ujrzawszy Barbarę i przekonawszy się, że jest dlań na zawsze stracona, wyjął rewolwer i dwoma strzałami zadał jej rany śmiertelne, skutkiem których w kilka minut nastąpiła śmierć. Po dokonaniu tego sam chciał sobie życie odebrać, jednakże zranit się tylko ciężko, lecz nieśmiertelnie i obecnie znajduje się w szpitalu więziennym.

A.

Poświęcenie nowego lokalu Szkoły kroju i szycia.



Szkola p. L. Skwareckiej, istniejąca w Warszawie od 18 lat, przeniosła się do nowego lokalu przy ul. Marszałkowskiej. Akt poświęcenia dokonany przez ks. prefekta Konarskiego, zgromadził wiele uczennic i starszych cechu krawieckiego.





Macierz szkolna nie próżnuje. Przechodnie są świadkami ciągłych transportów nowych ław szkolnych do świeżo otwieranych uczelni.



Sezon jesienny, między innymi, cechują na ulicach Warszawy liczne wozy z arbusami...

Felieton Warszawski.

Rewolucya nastąpiła i w powietrznych sferach. Wrzesień mieliśmy nie wiele się różniący od listopada i to różniący się może na niekorzyść. Ani ludzie, ani rośliny nie byli przygotowani na figle podobne. To też ludziska powłazili głęboko w najjesienniejsze, jakie tylko mieli, palta. Z roślinami było gorzej: kwiaty w jedną noc surową się powarzyły i nad ranem pozwieszały ku ziemi martwe główki; liście, nie zdążywszy wyschnąć, zczerniały od nagłej śmierci na gnój; ogrody miejskie i ogródki podmiejskie z dnia na dzień stały się obrazem ruiny i zniszczenia.

Jesień, polska jesień, którą sławili tak poeci i którą nijeden artysta uważał za najpiękniejszą z pór roku pod naszym niebem zawiodła w tym roku srodze. Wprawdzie domorośli metereologowie spodziewają się, że gdy te pierwsze zimowe a przedwczesne biedy miną, słońce jesieni polskiej będzie się jeszcze długo uśmiechać do nas.

Ale my wtedy zawołamy doń:

— O Varrusie! Cożeś porobił z legionami naszych kwiatów!... Wróć nam ich barwy, ich zapachy!...

Na co rozblyszczony Varrus odpowie jednak:

— Poczekaście, robaki, do maja... To już niedaleko...

Czy jesień polska zobaczy „koncentrację“, o której wszystkie pisma polityczne rozpisują się tak szeroko i tak namiętnie?

Prorok mógłby dać tylko na to odpowiedź.

Oto jak tymczasem stoi idea koncentracji:

Narodowa Demokracja rozpoczęła propagandę tej myśli.

Realściści odpowiedzieli na to:

— Owszem, ale wszyscy...

Ten i ów się zdumiał.

— Co? i socjaliści?...

„Kuryer Polski“ odpowiedział na to zdumienie:

— Jeżeli się tylko da...

* Organy stronnictw postępowych poczęły przepowiadać, że wszystkie te zabiegi skończą się:

— Zjednoczeniem żywiołów *wstecznych*...

Co więc będzie, niewiadomo. Ale nie sposób nie zanotować, że był w życiu naszym politycznym tydzień taki, kiedy prawie wszyscy politycy nasi, zaskoczeni myślą o możliwości wspólnego działania, choćby na ograniczonym polu, zapomnieli obrzucać się wzajemnie wymysłami, podejrzeniami i insynuacjami.

Niechże kronikarzowi wolno będzie uciec tę niesłychaną i błogą ciszę złych słów i złych procederów zawołaniem, na podobieństwo Fausta:

— Stój chwilo!

Niestety, popłynęła już ona...

Dzisiejsze gazety nie przypominają — z przed tygodnia, a koncentracja wyglądała jest jako możliwy związek Endecyi, Realistów i Spójni...

— Spójnia! — zawołał ten i ów. — Alboż ona istnieje jeszcze?...

W jednych pismach stoi wydrukowane: „nie“. W innych: „istnieje“...

A pewien mąż dowcipkujący rzekł o tem stronnictwie:

— Nie jest to stowarzyszenie *tajne*, a tylko *ukryte*...

Czy nie za dużo polityki, jak na „Świat“, który przysiągł nie tylko postną wstrzeźliwość, ale nawet wegetarykańską abstynencję od politycznych potraw?! Wszystko powyższe to tylko wiązka informacji. Są między niemi zaś zbyt ważne, aby ani jeden refleks ich nie osiągnął szpalt pisma, którego ambicje są: stać wszystkim się jednakowo pożytecznym i uslužnym.

Szkolnictwo nasze weszło w nową epokę.

W najcharakterystyczniejszy sposób odbija się to na Świętokrzyskiej ulicy, zasypanej antykwariatami, które właściwie są tylko handlami szkolnymi książkami używanymi. Handlarze połapać się nie mogą. O tej porze były ich żniwa. Do sklepików docisnąć się nie było można. Za kontuarem funkcyonowały całe rodziny, wzmocnione krewnymi, sprowadzonymi na tą okazję z prowincyi. Syndykat, w świetny sposób zorganizowany i idealnie funkcyonujący, sprawiał, że rozmaite *uczebniki* i *chrestomatje*, kupione za dziesiątki, sprzedawały się bardzo mało co taniej, aniżeli nowe książki. Dwa tygodnie targu wrzesniowego pozwały handlarzom oddawać się całorocznym wyczasom, przerywanym zrzadka pertraktacją z uczniakiem, chyłkiem spuszczać jącym podręcznik, aby użyć trochę życia.

A teraz?

— Rewolucye...

Nastaly natomiast czasy, kiedy polscy wydawcy i polscy księgarze odwyć się nieco mogą. Dobrze napisany podręcznik szkolny polski stał się towarem o wzmocnionym popycie. Autor szkolny, istota dotychczas jed-

na z najniezwyklejszych, znalazła się w sytuacji *personae gratae*. A z końca w koniec kraju naszego przeszło pożądanie:

— Dobrych podręczników!...

W teatrach nastąpił już nareszcie początek końca. „Odsiecz Wiednia“ nie stała się drugą „Obroną Częstochowy“. Dlaczego bohaterski Sobieski nie stał się taką samą przyciągającą siłą, jaką tak długo był wzniosły Kordecki? Któż to wytłomaczy. Publiczność jest tłumem, a prawem, poruszającym tłumy jest kaprys (przez małe *k*). Wobec pustek w kasie, trzeba nareszcie pomyśleć o odwołaniu. I ostatecznie, podczas gdy teatr Wielki przygotowuje nową operę Noskowskiego (trochę za późno), a Rozmaitości wystawiają „Lillę Wenedę“ (grubo za późno)— ministerium spraw wewnętrznych nakazało przelać teatry w posiadanie miasta. Co obecny gospodarz miasta naszego, p. Litwinski, z teatrami tymi uczyni? *That is the question*... Tymczasem jednak sporo wody zapewne upłynie, zanim wysadzona komisja połapie się w tym labiryncie, jaki przedstawia obecnie organizacja i interesy naszych teatrów.

Vivus.



Powstanie na Kubie.

Jak się okazuje obecnie, Stany Zjednoczone Ameryki północnej podjęły w swoim czasie walkę z Hiszpanią, nie, żeby Kubę wyzwolić, ale żeby ją zagarnąć. Utworzona z woli Amerykanów republika nie miała znamion długotrwałości. Ścierały się na gruncie kubańskim interesa wielkich plantatorów amerykańskich. Niezadowolenie z rządów prezydenta Palmy wzrastało wśród kubańczyków, dążących do utrzymania niepodległości wyspy, aż zamieniło się w otwarte powstanie. Prezydent Palma z wznoszącą anarchią uporać się nie zdołał, pomimo że kazał uwięzić głośnego jen. Gomeza, znanego z walk powstańczych z hiszpanami, upatrując w nim rywala dla siebie. Okazała się koniecznością interwencja Stanów Zjednoczonych, które wysłały ministra wojny Tafta na pośrednika i pacyfikatora.



Minister wojny Taft.

Taft zażądał w imieniu swego rządu pogodzenia się stron wojujących. Prezydent Palma na to zgodzić się nie chciał i nie mógł— ustąpił więc razem z ministrami. Wówczas pośrednik amerykański ogłosił się gubernatorem wyspy, oświadczając, że jedynym celem jego jest przywrócenie ładu i zyskanie zaufania publicznego aż do czasów utworzenia rządu stałego. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że w zamiarach Stanów Zjednoczonych leży obecnie zaanektowanie Kuby. x.

Jak odbywają się samosądy na krańcach Warszawy.



W ostatnich dniach „nieznani ludzie“ dokonali licznych krwawych samosądów na znanych rzemieślniczkach.

Dziennikarze warszawscy ostatnio wydaleneni przez władze wojenne z granic kraju.



Władysław Buchner, redaktor „Muchy“.



Korsak, redaktor „Strzały“.



Bank, redaktor „Baka“.

Pamięci poważanego dziennikarza.



Pomnik ś. p. Bronisława Zawadzkiego w kościele karmelitów, wykonany przez artystę rzeźbiarza W. Mazura, wykonany u Br. Lopińskich.

